

ROBIN SLOAN

CAŁODOBOWA KSIĘGARNIA PANA

PENUMBRY



ZATRUDNIMY PRACOWNIKA

Zagubiony w mroku regałów, omal nie spadam z drabiny. Jestem dokładnie w połowie wysokości. Daleko w dole została podłoga księgarni, powierzchnia planety, którą opuściłem. Nade mną wznoszą się wierzchołki regałów, okryte ciemnością – ciasno ustawione książki nie przepuszczają światła. Powietrze wydaje się rzadsze. Chyba widzę nietoperza.

Trzymam się ze wszystkich sił, jedna ręka na drabinie, druga zaciśnięta na krawędzi półki, aż palce bieleją. Przesuwam wzrokiem nad kłykciami, sprawdzam grzbiety... i tam ją dostrzegam. Książkę, której szukam.

Ale pozwólcie, że zacznę od początku.



Nazywam się Clay Jannon i w czasach, kiedy zaczyna się ta historia, rzadko dotykałem papieru.

Siadywałem przy kuchennym stole i zaczynałem przeglądać na swoim laptopie ogłoszenia o pracy, ale potem migiała zakładka przeglądarki i rozpraszała mnie, więc klikałem na link do długiego artykułu prasowego o genetycznie modyfikowanych

winogronach. Właściwie za długiego, więc dodawałem go do listy lektur. Później otwierałem kolejny link do recenzji książki. Recenzję też dodawałem do listy lektur. Następnie ściągałem pierwszy rozdział tej książki – trzeciego tomu z serii o policjantach wampirach. Zapomniawszy o ogłoszeniach dotyczących pracy, wracałem do pokoju, stawiałem sobie laptopa na brzuchu i czytałem przez cały dzień. Miałem mnóstwo wolnego czasu.

Byłem bezrobotny – skutek kurczenia się wielkich sieci żywieniowych w Ameryce na początku XXI wieku, prowadzącego do bankructwa barów hamburgerowych i upadku imperiów sushi.

Straciłem posadę w korporacyjnej centrali NewBagel, zlokalizowanej wcale nie w Nowym Jorku czy innym miejscu z tradycjami w wyrobie bajgli, tylko tutaj, w San Francisco. Firma była bardzo młoda i bardzo mała. Założyło ją dwoje eksgooglerów, którzy napisali oprogramowanie do projektowania i wypieku platonicznego bajgla: gładka, chrupiąca skórka, miękki, ciastowaty środek, całość jako idealne kólecčko. To była moja pierwsza posada po szkole plastycznej i zacząłem jako designer, opracowywałem materiały marketingowe do opisu i promocji tych smacznych torusów: menu, kupony, wykresy, plakaty na okna wystawowe i raz całkowity wystrój straganu na festyn wypieków.

Miałem dużo roboty. Najpierw jeden z eksgooglerów poprosił mnie, żebym spróbował przerobić logo firmy. To były wielkie, skaczące, tęcze litery w bladobrazowym kręgu: wyglądało jak prosto z MS Paint. Zmieniłem krój czcionki na bardziej nowoczesny, z ostrymi czarnymi szeryfami, co według mnie powinno się kojarzyć z wężykami i sztyletami hebrajskich liter. To dodało nieco powagi firmie NewBagel, a mnie przyniosło

nagrodę oddziału AIGA* w San Francisco. Potem, kiedy wspomniałem drugiej eksgooglerce, że znam się na programowaniu (trochę), przekazała mi prowadzenie strony internetowej. Więc stronę też przerobiłem, a następnie zebrałem mały budżet marketingowy na wyszukiwanie takich słów, jak „bajgel”, „śniadanie” i „topologia”. Byłem również głosem @NewBagel na Twitterze i przyciągnąłem kilkuset obserwujących dzięki mieszance śniadaniowych ploteczek i internetowych kuponów.

To nie był żaden następny wspaniały etap ludzkiej ewolucji, ale czegoś się uczyłem. Szedłem w górę. Potem jednak ekonomia poleciała w dół na łeb na szyję i okazało się, że w czasach recesji ludzie wolą staroświeckie, pękate, podłużne bajgle, nie gładkie jak obce statki kosmiczne, nawet gdyby je posypać precyzyjnie zmieloną solą kamienną.

Eksgooglerzy przywykli do sukcesów i nie odpuszczali tak łatwo. Szybko zmienili nazwę na Starojerozolimską Wytwórnę Bajgli i całkowicie zarzucili algorytm, toteż bajgle zaczęły wychodzić nierówne i przypalone. Zażądali, żebym nadał witrynie staroświecki wygląd, co legło ciężarem na mojej duszy i nie przysporzyło mi żadnych nagród AIGA. Budżet marketingowy kurczył się, aż całkiem zniknął. Miałem coraz mniej roboty. Niczego się nie uczyłem, a moje notowania przestały rosnać.

W końcu eksgooglerzy rzucili ręcznik na ring i wyjechali do Kostaryki. Piece wygasły, witryna internetowa pociemniała. Nie dostałem odprawy, ale zatrzymałem firmowego MacBooka i konto na Twitterze.

* AIGA (dawniej skrót od *American Institute of Graphic Arts*) – amerykańskie zrzeszenie zawodowych grafików.

Tak więc po niecałym roku pracy stałem się bezrobotny. Okazało się, że kryzys dotknął nie tylko sieci żywieniowe. Ludzie mieszkali w motelach i miasteczkach namiotowych. Sytuacja ekonomiczna nagle zaczęła przypominać zabawę w muzyczne krzesła i czułem, że muszę złapać jakieś miejsce, jakiegokolwiek, możliwie najszybciej.

Ten scenariusz nie napawał optymizmem, zważywszy na konkurencję. Miałem znajomych, grafików jak ja, którzy już zaprojektowali światowej sławy witryny internetowe albo zaawansowane interfejsy dotykowych ekranów, a nie zwykłe logo początkującej wytwórni bajgli. Miałem przyjaciół, którzy pracowali w Apple. Mój najlepszy kumpel Neel prowadził własną firmę. Jeszcze rok w NewBagel i nabrałbym doświadczenia, ale nie zostałem tam dostatecznie długo, żeby zgromadzić portfolio czy nawet się w czymś wyspecjalizować. Na mój dorobek składała się praca magisterska o szwajcarskiej typografii (1957–1983) i trzystronicowa witryna internetowa.

Jednak wytrwale śledziłem ogłoszenia o pracy. Moje standardy szybko się obniżały. Na początku zakładałem, że będę pracował wyłącznie w firmie, w której posłannictwo wierzę. Potem pomyślałem, że może wystarczy, jeśli nauczę się czegoś nowego. Później chciałem tylko, żeby to nie było nic złego. Teraz ostrożnie redefiniowałem swoją własną definicję zła.

To papier mnie uratował. Odkryłem, że mogę się skupić na szukaniu pracy, jeśli się oderwę od internetu, więc drukowałem stos ogłoszeń o wolnych posadach, wrzucałem telefon do szuflady i szedłem na spacer. Ogłoszenia, które wymagały zbyt wysokich kwalifikacji, zgniatałem i wrzucałem do poobijanych zielonych kubłów na śmieci mijanych po drodze, więc do czasu, kiedy się zmęczyłem i wskoczyłem do autobusu powrotnego, miałem w kieszeni dwa czy trzy obiecujące tropy do sprawdzenia.

W ten sposób znalazłem pracę, chociaż nie dokładnie tak, jak się spodziewałem.

San Francisco to dobre miejsce do spacerów, jeśli masz silne nogi. Śródmieście to maleńki placyk punktowany stromymi wzgórzami i z trzech stron otoczony wodą, toteż wszędzie zaskakują cię niezwykle widoki. Idziesz sobie z nareczem wydruków, nikomu nie wadząc, aż tu nagle grunt opada i spoglądasz prosto w dół na zatokę, obok budynków oświetlonych różowo i pomarańczowo. Styl architektoniczny San Francisco nie przyjął się właściwie nigdzie indziej w kraju i nawet jeśli tu mieszkasz, nawet jeśli przywykłeś, wygląda dość osobliwie: te wąskie, wysokie domy, okna jak oczy i zęby, filigranowe ozdóbki jak na weselnym torcie. A nad tym wszystkim, jeśli patrzysz we właściwym kierunku, góruje rdzawa sylweta mostu Golden Gate.

Wędrowałem za jednym dziwnym widokiem po stromych schodkowych chodnikach, potem szedłem wzdłuż brzegu, bardzo okrężną drogą do domu. Minąłem szereg starych pomostów – okrążywszy z daleka wrzaskliwy tłum na Fisherman's Wharf – i patrzyłem, jak restauracje z owocami morza ustępują miejsca przedsiębiorstwom architektury okrętowej, a potem start-upom mediów społecznościowych. Wreszcie, kiedy burczenie w brzuchu zasygnalizowało mi, że pora na lunch, zawróciłem w stronę miasta.

Zawsze kiedy tak spacerowałem ulicami San Francisco, wypatrywałem w oknach wystawowych tabliczek ZATRUDNIMY PRACOWNIKA – czego właściwie nikt nie robi, prawda? Chyba powinienem je traktować bardziej podejrzliwie. Legalni pracodawcy ogłaszają się w serwisie Craigslist.

Całodobowa księgarnia z pewnością nie sprawiała wrażenia

legalnego pracodawcy:

ZATRUDNIMY PRACOWNIKA

Późne zmiany

Specjalne wymagania

Dodatkowe świadczenia

Byłem przekonany, że określenie „całodobowa księgarnia” to eufemizm. Znajdowała się na Broadwayu, w eufemistycznej części miasta. W poszukiwaniu pracy zawędrowałem daleko od domu; sąsiedni lokal nazywał się Booty’s i miał neonowy szyld z nogami, które krzyżowały się i rozkładały.

Pchnąłem oszklone drzwi księgarni. Dzwonek nad wejściem brzęknął wesoło. Powoli wszedłem do środka. Wtedy jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, że przekroczyłem ważny próg.

Wnętrze: wyobraźcie sobie księgarnię o normalnych rozmiarach położoną na boku. Ten lokal był absurdalnie wąski i oszołamiająco wysoki. Regały sięgały do samej góry – dwa piętra książek, może więcej. Zadarłem głowę (dlaczego w księgarniach zawsze trzeba niewygodnie wykręcać szyję?), ale górne półki gładko wtapiały się w mrok, jakby ciągnęły się w nieskończoność.

Regały były ustawione ciasno obok siebie i poczułem się tak, jakbym stał na skraju lasu – nie przyjaznego kalifornijskiego lasu, tylko starej transylwańskiej puszczy, gdzie wilki, czarownice i bandyci uzbrojeni w sztylety czyhają tuż poza zasięgiem księżycowej poświaty. Do regałów doczepiono drabiny, które można było przesuwac w obie strony. Zwykle coś takiego wygląda uroczo, lecz tutaj drabiny ginące w mroku sprawiały złowieszcze wrażenie. Szeptaly o wypadkach przy pracy.

Zostałem więc we frontowej części księgarni, gdzie wciskało się jasne światło dzienne i zapewne odstraszało wilki. Nad

drzwiami i wokół drzwi ścianę tworzyły tafle szkła, grube kwadratowe szyby wprawione w czarne żelazne ramy. Napis biegnący łukiem po szkłe głosił wysokimi złotymi literami (odwróconymi):

CAŁODOBOWA KSIĘGARNIA PANA PENUMBRY

Poniżej, w zagięciu łuku, widniał symbol – dwie dłonie, idealnie wyprostowane, wysunięte z otwartej książki.

Więc kim był pan Penumbra?

– Witam – przemówił spomiędzy półek cichy głos.

Pojawił się mężczyzna, wysoki i chudy jak jego drabiny, ubrany w jasnoszarą koszulę z przypinanymi rogami kołnierzyka i błękitny kardigan. Szedł chwiejnym krokiem, opierając się długą ręką o regały. Kiedy wynurzył się z cienia, zobaczyłem, że kolor jego swetra pasuje do oczu, również błękitnych, osadzonych głęboko w sieci zmarszczek. Był bardzo stary.

Skinął mi głową i słabo pomachał.

– Czego szukasz na tych półkach?

To była dobra odzywka i z jakiegoś powodu sprawiła, że poczułem się swobodnie. Zapytałem:

– Czy mówię z panem Penumbra?

– Jestem Penumbra – przytaknął – i jestem kustoszem tego miejsca.

Zanim sobie uświadomiłem, co mówię, powiedziałem:

– Szukam pracy.

Penumbra zamrugał, potem kiwnął głową i poczłapał do biurka stojącego obok frontowych drzwi. Był to masywny blok ciemnego drewna o koncentrycznych słojach, solidna forteca na skraju lasu. Zapewne można byłoby się za nim bronić przez wiele dni w razie oblężenia spomiędzy regałów.

– Posada. – Penumbra znowu kiwnął głową. Wślizgnął się

na fotel za biurkiem i zmierzył mnie wzrokiem ponad szerokim blatem. – Pracowałeś kiedyś w księgarni?

– No cóż – zacząłem – kiedy byłem w szkole, dorabiałem jako kelner w restauracji rybnej i właściciel sprzedawał własną książkę kucharską. – Miała tytuł *Sekret dorsza* i zawierała trzydzieści jeden przepisów na przyrządzenie... wiecie czego. – Ale to się chyba nie liczy.

– Nie, nie liczy się, ale w zasadzie to nieistotne – oświadczył Penumbra. – Wcześniejsze doświadczenie w branży księgarskiej nie na wiele ci się tutaj przyda.

Zaraz... może rzeczywiście tu sprzedawano erotyczne akcesoria. Rozejrzałem się dookoła, nie zauważyłem jednak żadnych gorsetów, podartych ani całych. Natomiast tuż obok na niskim stoliku leżał stos zakurzonych Dashiellów Hammettów. To był dobry znak.

– Opowiedz mi – poprosił Penumbra – o książce, którą kochasz.

Od razu znałem odpowiedź. Nie miała konkurencji.

– Panie Penumbra – odparłem – to nie jedna książka, tylko cykl. Nie jest najlepiej napisana, pewnie jest za długa i w dodatku kończy się okropnie, ale przeczytałem ją trzy razy i dzięki niej poznałem mojego najlepszego przyjaciela, bo obaj mieliśmy obsesję na jej punkcie w szóstej klasie. – Wziąłem oddech. – Kocham *Kroniki smoczycz piosni*.

Penumbra uniósł brew, a potem się uśmiechnął.

– To dobrze, bardzo dobrze – powiedział i poszerzył swój uśmiech, odsłaniając nierówne białe zęby. Potem zmierzył mnie wzrokiem od góry do dołu. – Ale czy potrafisz wejść na drabinę?



I tak znalazłem się na drabinie, wysoko na poziomie drugiego

piętra Całodobowej Księgarni Pana Penumbry. Książka, po którą mnie posłano, nosi tytuł *Al-Asmari* i znajduje się w zasięgu jakichś stu pięćdziesięciu procent długości mojego ramienia po lewej stronie. Oczywiście będę musiał zejść na podłogę i przesunąć drabinę. Ale na dole Penumbra krzyczy:

– Przechyl się, mój chłopcze, przechyl się!

O rany, jak ja chciałem dostać tę robotę.

GUZIKI PŁASZCZA

No więc to było przed miesiącem. Teraz jestem nocnym sprzedawcą u Penumbry i łażę po drabinach jak małpa. To wymaga specjalnej techniki. Podtaczasz drabinę na miejsce, blokujesz kółka, potem zginasz kolana i wskakujesz od razu na trzeci albo czwarty szczebel. Podciągasz się rękami, żeby nie stracić rozpędu, i już po chwili jesteś półtora metra nad ziemią. Wspinając się, patrzysz prosto przed siebie, ani w górę, ani w dół; skupiasz wzrok jakies trzydzieści centymetrów przed twarzą i pozwalasz, żeby rozmazane grzbiety książek przesuwwały się barwnymi smugami. Liczysz szczeble w głowie i kiedy dotrzesz na właściwy poziom, sięgasz po książkę, którą miałeś wyszukać... ależ tak, oczywiście, przechylasz się.

Wprawdzie na takie kwalifikacje jest mniejszy popyt niż na projektowanie stron internetowych, ale więcej przy tym zabawy, no i w mojej sytuacji trzeba brać wszystko, co się nawinie.

Żałuję tylko, że nie muszę częściej korzystać z moich nowych umiejętności. Całodobowa Księgarnia Pana Penumbry działa przez dwadzieścia cztery godziny na dobę bynajmniej nie ze względu na nawał klientów. Prawdę mówiąc, klienci trafiają się rzadko i czasami czuję się bardziej jak nocny stróż niż jak

sprzedawca.

Penumbra sprzedaje używane książki, co do jednej w doskonałym stanie, praktycznie jak nowe. Kupuje je w ciągu dnia – można sprzedawać tylko temu, czyje nazwisko figuruje na oknie wystawowym – i najwyraźniej twardy z niego kupiec. Chyba nie bardzo się przejmuje listami bestsellerów. Zgromadził eklektyczny księgozbiór; podejrzewam, że jedyne kryterium stanowił jego osobisty gust. Tak więc nie mamy żadnych nastoletnich czarodziejów ani policjantów wampirów. Szkoda, bo właśnie w takiej księgarni każdy chciałby kupić książkę o nastoletnim czarodzieju. W takiej księgarni każdy sam chciałby zostać nastoletnim czarodziejem.

Opowiedziałem znajomym o sklepie Penumbry i kilku wpadło, żeby pogapić się na regały i podziwiać, jak się wspinam na zakurzone niebotyczne wysokości. Zwykle ich namawiam, żeby coś kupili: powieść Steinbecka, opowiadania Borgesa, gruby tom Tolkiena – Penumbra widocznie interesuje się tymi autorami, ponieważ posiada na składzie kompletne dzieła każdego z nich. W ostateczności wciskam znajomym pocztówki. Na biurku przy wejściu leży ich cały stos. Przedstawiają front sklepu narysowany piórkiem i tuszem – cienkie, delikatne linie, styl tak stary i niemodny, że ponownie wszedł w modę – i Penumbra sprzedaje je po dolarze sztuka.

Ale jeden nędzny dolar co kilka godzin nie wystarczy na moją pensję. Pojąć nie mogę, skąd się bierze moja pensja. Pojąć nie mogę, dlaczego ta księgarnia nie bankrutuje.

Jedną klientkę widziałem już dwa razy. Jestem niemal pewien, że ona pracuje po sąsiedzku w Booty's. Jestem tego niemal pewien, bo za każdym razem miała wokół oczu obwódki z tuszu jak szop pracz i cuchnęła dymem. Ma promienny uśmiech i matowe ciemnoblonde włosy. Nie potrafię odgadnąć jej wieku –

zużyte dwadzieścia trzy lata albo świetnie zachowana trzydziestka – i nie znam jej imienia, ale wiem, że ona lubi biografie.

Podczas pierwszej wizyty przeglądała regały od frontu, krążyła powoli, szurając nogami i przeciągając się w roztargnieniu. Potem podeszła do biurka na froncie.

– Macie jakąś o Stevie Jobsie? – zapytała.

Nosiła puchatą kurtkę North Face na różowym topie i dżinsy, miała lekko nosowy głos.

Zmarszczyłem brwi.

– Chyba nie. Ale sprawdzę.

Penumbra ma bazę danych, która chodzi na rozpadającym się beżowym Macu Plus. Wystukałem na klawiaturze nazwisko jego twórcy i Mac pisnął cicho – dźwięk sukcesu. Klientka miała szczęście.

Przekręciliśmy głowy, żeby przejrzeć sekcję BIOGRAFIE, i oto jest: pojedynczy egzemplarz, błyszczący jak nowy. Może to był prezent gwiazdkowy dla tatusia, kierownika technicznego, który właściwie książek nie czyta. Albo może Techniczny Tatus wolał raczej to przeczytać na swoim Kindle’u. W każdym razie ktoś ją tu sprzedał i przeszła przez sito Penumbry. Cud.

– Był taki przystojny – powiedziała North Face, trzymając książkę na wyciągnięcie ręki. Steve Jobs spoglądał z białej okładki, z podbródkiem opartym na rękę, w okrągłych okularach, trochę podobnych do okularów Penumbry.

Tydzień później wbiegła w podskokach do księgarni, uśmiechnięta od ucha do ucha, klaszcząc bezgłośnie – wyglądała przy tym bardziej na dwadzieścia trzy lata niż na trzydzieści jeden – i zawołała:

– Och, to było wspaniałe! Słuchaj – spoważniała – on napisał jeszcze jedną, o Einsteinie. – Wyciągnęła telefon, na którym

pokazała stronę Amazona z biografią Einsteina pióra Waltera Isaacsona. – Znalazłam to w internecie, ale pomyślałam, że może kupiłabym tę książkę tutaj?

Powiedzmy sobie otwarcie: To było niesamowite. To było marzenie księgarza. Oto striptizerka, która staje na drodze historii i wrzeszczy: „Stop!”... a potem odkryliśmy, z nadzieją przechylając głowy, że sekcja BIOGRAFIE nie zawiera pozycji *Einstein: jego życie, jego wszechświat*. Było pięć różnych książek o Richardzie Feynmanie, ale żadnej o Albercie Einsteinie. Tako rzeczce Penumbra.

– Naprawdę? – nadąsała się North Face. – Szlag. No to chyba kupię ją w sieci. Dzięki.

Odeszła z powrotem w noc i do tej pory nie wróciła.

Będę szczerzy. Gdybym miał zrobić ranking miejsc zdobywania książek pod względem wygody, łatwości i satysfakcji, lista wyglądałaby następująco:

1. Idealna niezależna księgarnia jak Pygmalion w Berkeley.
2. Duży, jasny Barnes & Noble. Wiem, że to korporacja, ale spójrzmy prawdzie w oczy – ich księgarnie są przyjemne. Zwłaszcza te z wielkimi kanapami.
3. Alejka z książkami w Walmarcie (obok ziemi doniczkowej).
4. Wypożyczalnia na pokładzie USS *West Virginia*, atomowej łodzi podwodnej w głębinach Pacyfiku.
5. Całodobowa Księgarnia Pana Penumbry.

Więc postanowiłem wyprowadzić firmę na prostą. Nie, nie znam się na zarządzaniu księgarnią. Nie, nie orientuję się na bieżąco w preferencjach zakupowych byłych striptizerek. Nie,

nigdy jeszcze nie wyprowadzałem niczego na prostą, chyba żeby liczyć to, jak uratowałem od bankructwa klub szermierczy Szkoły Plastycznej Rhode Island, organizując dwudziestoczterogodzinny maraton filmów z Errolem Flynnem. Ale wiem, jakie rzeczy Penumbra wyraźnie robi źle... i jakich w ogóle nie robi.

Na przykład marketing.

Mam plan: Najpierw wykażę się kilkoma drobnymi sukcesami, potem poproszę o budżet na zamieszczenie kilku reklam w gazetach, powieszę w oknie wystawowym kilka ogłoszeń, może nawet szarpnę się na banner na pobliskim przystanku autobusowym: CZEKASZ NA AUTOBUS? ZACZEKAJ Z NAMI! Zawsze będę miał otwarty na laptopie rozkład jazdy, żeby uprzedzić klienta pięć minut przed przyjazdem następnego autobusu. Genialne.

Ale muszę zacząć od podstaw i pracuję ciężko, bo żadni klienci mi nie przeszkadzają. Najpierw łączę się z najbliższą niezabezpieczoną siecią Wi-Fi o nazwie bootynet. Potem odwiedzam jedną po drugiej lokalne witryny z recenzjami i piszę pochwalne relacje o tym ukrytym klejnocie. Wysyłam przyjazne maile z mrugającymi emotikonami na miejscowe blogi. Tworzę na Facebooku grupę z jednym członkiem. Zapisuję się na hipertargetowy program lokalnej reklamy w Google – ten sam, z którego korzystaliśmy w NewBagel – pozwalający namierzyć zwierzynę z absurdalną precyzją. Wybieram cechy z długiego google'owskiego formularza:

- mieszka w San Francisco,
- czyta książki,
- nocny marek,
- nosi przy sobie gotówkę,

- nie ma alergii na kurz,
- lubi filmy Wesa Andersona,
- ostatni GPS wykrywa go w promieniu pięciu przecznic.

Mogę na to wydać tylko dziesięć dolarów, więc muszę być dokładny.

Tyle w kwestii popytu. Trzeba także pomyśleć o podaży, a podaż Penumbry jest co najmniej kapryśna – ale to tylko część problemu. Całodobowa Księgarnia Pana Penumbry stanowi, jak się przekonałem, właściwie dwa sklepy w jednym.

Od frontu znajduje się mniej więcej normalna księgarnia, skupiona ciasno wokół biurka. Niskie regały mają oznaczenia: HISTORIA, BIOGRAFIE i POEZJA. Stoją tam *Etyka nikomachejska* Arystotelesa i *Shibumi* Trevaniana. Ta mniej więcej normalna księgarnia jest brudna i przygnębiająca, ale przynajmniej ma na składzie tytuły, które można znaleźć w bibliotekach albo w internecie.

Druga księgarnia kryje się w głębi i na górze, na regałach z drabinami, i zawiera woluminy, które według Google nie istnieją. Wierzcie mi, sprawdzałem. Wiele z tych książek wygląda na stare – spękana skóra, poślacane litery – ale inne są świeżo oprawione w czyste, jasne okładki. Więc nie wszystkie są stare. Po prostu wszystkie są... unikatowe.

Nazywam je Zapleczem.

Kiedy zacząłem tu pracować, zakładałem, że wszystkie pochodzą z małych wydawnictw. Małych oficyn amiszów, którzy nie lubią prowadzić elektronicznych rejestrów. Albo może wszystkie wydano nakładem własnym autorów – cała kolekcja wydań specjalnych, które nigdy nie trafiły do Biblioteki Kongresu ani nigdzie indziej. Może Penumbra prowadził coś w

rodzaj sierocińca.

Teraz jednak, po miesiącu pracy, zaczynam myśleć, że to bardziej skomplikowane. Widzicie, do kompletu z drugą księgarnią jest drugi zestaw klientów – mała społeczność ludzi orbitujących wokół sklepu niczym dziwne księżycy. W niczym nie przypominają North Face. Są starsi. Przychodzą z algorytmiczną regularnością. Nigdy nie szperają. Zjawiają się całkiem rozbudzeni, kompletnie trzeźwi i drżący z gwałtownej potrzeby. Na przykład:

Dzwonek nad drzwiami brzęknie i zanim jeszcze ucichnie, pan Tyndall krzyczy bez tchu:

– Kingslake! Potrzebuję Kingslake’a!

Zdejmie rękę z głowy (czy naprawdę biegł ulicą, obejmując głowę rękami?) i chwyci się biurka. Powtórzy, jakby już raz mnie ostrzegął, że moja koszula się pali, więc dlaczego natychmiast nie zareaguję:

– Kingslake! Szybko!

Baza danych w Mac Plusie obejmuje zarówno zwykłe książki, jak i Zaplecze. Te ostatnie nie są ustawione alfabetycznie ani tematycznie (czy w ogóle mają jakiś temat?), więc bez komputera ani rusz. Wstukuję K-I-N-G-S-L-A-K-E i Mac powoli miele – Tyndall balansuje na piętach – a potem piszczy i wyświetla enigmatyczną odpowiedź: Nie BIOGRAFIE ani HISTORIA, ani FANTASTYKA NAUKOWA I FANTASY, tylko 3-13. To jest Zaplecze, alejka 3, półka 13, czyli zaledwie jakieś trzy metry w górze.

– Och, dzięki Bogu, dziękuję, tak, dzięki Bogu – bełkocze Tyndall w ekstazie. – Oto moja książka – wyjmuję skądś (pewnie ze spodni) bardzo dużą książkę, którą zwróci, wymieni na Kingslake’a. – A to moja karta.

Przesunie po blacie nieskazitelną laminowaną kartę,

oznakowaną tym samym symbolem, który zdobi okno wystawowe. Na karcie widnieje tajemniczy kod, wytłoczony głęboko w grubym papierze, który zapiszę. Szczęśliwy numer Tyndalla to jak zawsze 6WNJHY. Pomylę się dwukrotnie przy wpisywaniu.

Odstawiwszy swoje małe sztuczki na drabinie, zawinę KINGSLAKE'A w brązowy papier. Spróbuję nawiązać swobodną pogawędkę.

– Jak tam dzisiejsza noc, panie Tyndall?

– Och, bardzo dobrze, teraz lepiej – wydyszy, biorąc pakunek drżącymi rękami. – Robimy postępy, powoli, stale, zdecydowanie! *Festina lente*, dziękuję, dziękuję!

Dzwonek brzęknie jeszcze raz, kiedy pan Tyndall wybiegnie na ulicę. Będzie trzecia nad ranem.



Czy to klub książki? Jak do niego wstępują? Czy coś płacą?

Takie pytania sobie zadaję, kiedy siedzę tu sam, po wyjściu Tyndalla, Lapin czy Fedorowa. Tyndall jest chyba największym dziwakiem, ale oni wszyscy są dziwaczni: siwiejący, zdeterminowani, jakby przeniesieni z innego miejsca lub czasu. Żadnych iPhone'ów. Żadnych wzmianek o bieżących wydarzeniach, o kulturze popularnej, właściwie o niczym oprócz książek. Zdecydowanie uważam ich za klub, chociaż nie mam dowodów, że znają się nawzajem. Każdy przychodzi sam i nigdy nie mówi ani słowa o niczym oprócz przedmiotu swojej obecnej gorączkowej fascynacji.

Nie wiem, co jest w tych książkach – do moich obowiązków należy nie wiedzieć. W dniu, kiedy mnie zatrudniono, po egzaminie z drabiną Penumbra stanął za biurkiem, spojrzął na mnie jasnoniebieskimi oczami i powiedział:

– W tej pracy są trzy zasady, wszystkie bardzo ściśle. Nie traktuj ich lekko. Sprzedawcy w tym sklepie przestrzegali tych zasad prawie od stulecia i nie pozwolę teraz ich łamać. Pierwsza: Musisz zawsze tu być od dwudziestej drugiej do szóstej rano. Nie wolno ci się spóźnić. Nie wolno ci wyjść wcześniej. Druga: Nie wolno ci przeglądać, czytać ani w żaden sposób poznawać książek na regałach. Podajesz je członkom. To wszystko.

Wiem, co myślicie: tyle samotnych nocy i nigdy nawet nie uchyliłeś okładki? Nie, nie uchyliłem. Podejrzewam, że Penumbra ma tu gdzieś kamerę. Jeśli zerknę na książkę i on się dowie, wywali mnie. Moi przyjaciele padają jak muchy; zamyka się całe gałęzie przemysłu, całe części kraju. Nie chcę mieszkać w namiocie. Potrzebuję tej roboty.

Poza tym trzecia zasada wynagradza drugą:

– Musisz prowadzić dokładny rejestr transakcji. Godzina. Wygląd klienta. Stan jego umysłu. W jaki sposób prosi o książkę. Jak ją przyjmuje. Czy wydaje się ranny. Czy nosi gałązkę rozmarynu na kapeluszu. I tak dalej.

Przypuszczam, że w normalnych warunkach takie żądania wydawałyby się trochę niesamowite. W obecnych okolicznościach – wypożyczanie po nocach dziwnych książek dziwnym uczonym – wydają się całkowicie stosowne. Więc zamiast spędzać czas, gapiąc się na zakazane półki, spędzam czas, opisując klientów.

Pierwszej nocy Penumbra pokazał mi półkę we frontowym biurku, gdzie stały szeregiem wielkie tomiszczą w skórzanych oprawach, identyczne, różniące się tylko jaskrawymi rzymskimi cyframi na grzbietach.

– Nasze rejestry – oznajmił, przesuając po nich palcem – sięgające prawie sto lat wstecz.

Wyciągnął tom z prawego brzegu i zwałił go na biurko z

ciężkim łupnięciem.

– Teraz ty pomożesz je prowadzić.

Na okładce rejestru widniały słowo NARRATIO głęboko wytłoczone w skórze oraz symbol – ten sam symbol, co na oknie wystawowym. Dwie dłonie otwarte jak książka.

– Otwórz – polecił Penumbra.

W środku były szerokie, szarawe kartki, wypełnione ciemnym odręcznym pismem. Były też rysunki, naszkicowane portrety brodatych mężczyzn, ściśle geometryczne zakrętasy. Penumbra przerzucił stronicę i znalazł miejsce mniej więcej w połowie, zaznaczone zakładką z kości słoniowej, gdzie pismo się urywało.

– Będiesz notował nazwiska, godziny i tytuły – powiedział, stukając w kartkę – ale również, jak mówiłem, wygląd i zachowanie. Prowadzimy rejestry wszystkich członków i wszystkich klientów, którzy mogą stać się członkami, żeby śledzić ich prace. – Zamilkł na chwilę. – Niektórzy naprawdę ciężko pracują.

– A co oni robią?

– Mój chłopcze! – Uniósł brwi, jakby to było najbardziej oczywiste pod słońcem. – Oni czytają.

Tak więc na stronach książki oznaczonej NARRATIO, numer IX, staram się jak najdokładniej i najwyraźniej zapisywać wszystko, co się wydarzyło na mojej zmianie, tylko z rzadka dodając jakiś literacki ozdobnik. Domyślcie się chyba, że zasada druga nie jest absolutnie ścisła. Wolno mi dotykać jednej osobliwej książki u Penumbry. To ta, którą piszę.



Rano, kiedy przychodzi Penumbra, jeśli miałem klienta, spyta mnie o niego. Odczytam fragment rejestru, a on pokiwa głową. Potem jednak zacznie drążyć jeszcze głębiej.

– Zupełnie dobry opis pana Tyndalla – powie. – Ale pamiętasz może, czy guziki jego płaszczka były z masy perłowej? Albo z rogu? Z jakiegoś metalu? Miedziane?

Tak, racja; rzeczywiście wydaje się dziwne, że Penumbra prowadzi takie dossier. Nie potrafię sobie wyobrazić, jaki ma w tym cel, choćby nawet nikczemny. Ale ludzi, którzy przekroczyli pewien wiek, właściwie nie należy pytać, dlaczego robią to czy owo. To niebezpieczne. Co, jeśli zapytam: „A więc, panie Penumbra, dlaczego chce pan wiedzieć, jakie guziki przy płaszczu miał pan Tyndall?”, a on zamilknie, podrapie się po brodzie, zapadnie krępująca cisza... i obaj się zorientujemy, że zapomnieli?

Albo jeśli z miejsca mnie zwolni?

Penumbra nie zwierza mi się ze swoich zamiarów. Przesłanie jest jasne: rób swoje i nie zadawaj pytań. Mój przyjaciel Aaron właśnie w zeszłym tygodniu dostał wymówienie i teraz będzie musiał znowu zamieszkać z rodzicami w Sacramento. W tej ekonomicznej sytuacji wolę nie wystawiać na próbę cierpliwości Penumbry. Potrzebuję tej posady.

Guziki płaszczka pana Tyndalla były nefrytowe.